

POD JEDNYM DACHEM



A D E L E P A R K S

POD JEDNYM DACHEM

Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ

Robert J. Szmidt



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Our Beautiful Mess

Redaktor prowadzący: Wojciech Ciuraj

Wydawca: Wojciech Ciuraj

Redakcja: Magdalena Kawka

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Ilustracja na okładce: © everettovrk / Stock.Adobe.com,

© Rainer Fuhrmann / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © rangizzz / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2025 by Adele Parks

Copyright © 2026 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © 2026 for the Polish translation by Robert J. Szmidt

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-680-1

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Bliss

Mógłbym ci na przykład strzelić w nogę. Ludzie uważają, że to akt łaski, szansa, ale grubo się mylą – mówił głośno i wyraźnie, całkiem sensownie, z południowolondyńskim akcentem, i co ciekawe, niezwykle uprzejmym tonem.

Potrzebowała dłuższej chwili na przyswojenie jego słów. Nie mogły być prawdziwe. Nie pasowały do jej świata.

– Gdybym trafił na przykład w całkiem sporą tętnicę, tę która biegnie wzdłuż uda... – Zawiesił na moment głos, by machnąć pistoletem, pokazując długość wspomnianej arterii i zarazem jego potencjalny cel. – To wykrwawiłabyś się w ciągu zaledwie kilku minut. Gdybym ją tylko drasnął, to, zakładając, że nie użyje się opaski uciskowej, ciśnienie i tak spadłoby drastycznie, co w połączeniu z nieuniknionym krwotokiem oznaczałoby pewną i też całkiem szybką śmierć... – Znów zamilkł, po czym dodał: – A nie zamierzam zakładać ci opasek uciskowych.

Rozbawiła go ta myśl. Przedstawienie, które jej fundował, było przerażające. Nie spanikował. Wiedział, co robi. Śmierć nie była mu obca. Zabijał już wcześniej.

– Mógłbym też strzelić ci w rękę. W tętnicę ramienną. W takim przypadku pomęczyłabyś się odrobinę dłużej. A ja patrzyłbym ze spokojem, jak dopada cię wstrząs hipowolemiczny. – Wypowiadał te słowa szybko, pewnie, po czym pociągnął nosem i podsumował: – Paskudna sprawa.

Connie pomyślała, że tak musi wyglądać kompletny szok. Zamarła w bezruchu. Wiedziała, że musi coś zrobić, ale co? Co?

– To naprawdę sporo pieniędzy. – Kręcił głową, jakby czegoś żałował.

– Mogę ci je zwrócić.

– Naprawdę? Bo jak patrzę na ciebie, to zaczynam się zastanawiać: jesteś oszustką czy raczej kłamczuchą? Wiesz, jeśli mogłaś mi je zwrócić, kiedy poprosiłem, i to naprawdę grzecznie, wychodzisz na oszustkę. A jeśli nie mogłaś, to czyni z ciebie kłamczuchę... – Zamilkł raz jeszcze na moment. – A ja nie lubię oszustek i kłamczuch.

Connie liczyła, że będzie przeciągał rozmowę. Dzięki temu zyskałaby więcej czasu na zebranie myśli, na działanie, a tu nagle: bum! Niespodziewanie i nieodwracalnie. Huk wystrzału odbił się echem od ścian piwnicy.

W jednej chwili miała wszystko – nadzieję, możliwości, szanse. W następnej było już tylko pełno krwi. Zaciśnęła dłonie na ranie. To niewiarygodne, miała w ciele najprawdziwszą dziurę. Nie mogła myśleć, nie mogła też oddychać. Krew sączyła się spomiędzy palców. Odnosiła wrażenie, że zaraz się porzyga albo zemdleje. Słyszała jakieś wrzaski, jak się szybko okazało – jej własne. Wzrok stawał się nieostry, mętny, pot oblewał ją całą od stóp po czubek głowy. Ciało robiło się płynne i zarazem mocno rozedrgane, jakby rażono je prądem. Ktoś ściszył dźwięk, potem wyłączył go całkowicie, wyszarpnął z magnetofonu taśmę z nagraniem jej życia. Sekundy zaczynały się męczyć dłużej. Ile czasu zostało?

Pomyślała o tym, jak wiele krwi zdążyła wcześniej zobaczyć, ale niemal każdy z tych przypadków dotyczył jej córeczek. Jej miesiąccki, porody, wszelkie dziecięce urazy, a potem także ich miesiąccki. A teraz to. Rana postrzałowa.

JEDENAŚCIE DNI PRZED KOŃCEM



1

Connie

Wigilia

Czuję się taka podekscytowana – stwierdziła z uniesieniem, umieszczając kolejną szklaną bombkę na gałązce choinki. Te wiekowe ozdoby nie należały do jej rodziny od wielu pokoleń, ale w okresie świątecznym, gdyby ją zapytano, mogłaby udawać, że tak właśnie było. Nie przyznałaby się za nic, ile godzin i funtów zostawiła na eBayu; była to nieodłączna część jej wysiłków zmierzających do stworzenia pozorów stabilności i dziedzictwa.

– Nic takiego się nie dzieje, mamó. – Sophie ziewnęła; zawsze pozowała na osobę zmęczoną otaczającym ją światem. Miała na sobie wytarty dżinsowy kombinezon, pod nim biały top, a nosiła te rzeczy z taką nonszalancją, jakby to ona wynalazła przedziałnie bawełny.

Matka przypomniwała sobie, że ubierała się bardzo podobnie, kiedy sama studiowała, ale wiedziała, że nie powinna o tym wspominać. Taki komentarz spotkałby się z brakiem zainteresowania, sceptycyzmem albo, co gorsza, zdecydowanym

odrzucał. Sophie nie ukończyła jeszcze szesnastu lat. Czy to możliwe, by zdążyła już zmęczyć się życiem? Connie przypuszczała, że tak. Obecna młodzież była niebywale przeciążona. Do tego dochodził stres z powodu egzaminów, który, prawdę powiedziawszy, zaczynał się, ledwie dzieciaki kończyły cztery latka. Potem nakręcanie się własną wspaniałością, życie na pełnym gazie, bo tak sugerował TikTok, dążenie do wyglądu supermodelki czy co tam jest teraz modne. Samo obserwowanie ich życia było wyczerpujące, a co dopiero mówić o wchodzeniu w ich skórę. Z drugiej strony, równie szczerze powiedziawszy, Connie nie wiedziała, jak ciężko jej córka haruje, przygotowując się do kolejnych egzaminów, a ponieważ dziewczyna była najmłodsza z trójki rodzeństwa, wołała jej o to nie pytać.

Flora, jej druga córka, także nie okazywała matce wiele uczucia i dobrej woli. Wróciła właśnie do gniazda po zaliczeniu pierwszego roku na uczelni i zarywała niemal każdą noc. Jej skóra utraciła już młodzieńczy blask, który dało się zauważyć jeszcze minionego lata; była niby wychudzona, ale zarazem dziwnie pulchna. Nie ruszyła się z sofy od chwili rozpoczęcia strojenia choinki; rozgniatała pryszczki na brodzie, wydając od czasu do czasu głębokie, letargiczne westchnienia. Brakowało jej nowo poznanych przyjaciół z uniwerku, w związku z czym dawała znać, i to na każdym kroku, że przebywanie w domu jest dużo nudniejsze niż życie w Durham.

– Dlaczego nie pójdziesz do swojego pokoju i nie położysz się na własnym łóżku, skoro jesteś aż tak zmęczona? Jak wy to nazywacie? Taktyczna drzemka? – To nie była sugestia, jeśli już, bardziej prośba.

Obecność Flory skutecznie niwelowała świątecznego ducha, na którym tak bardzo zależało jej matce. Odmówiła już napięcia się gorącej czekolady: „Jestem w wystarczającym stopniu

opryszczona”, i szampana: „Wpadłeś w alkoholizm czy co? Nie ma jeszcze pory lanczu”. Nie pasowały jej też muzyczne wybory Connie, bynajmniej nie z powodu nudy, jaką może wywołać nieustanne puszczenie świątecznych przebojów we wszystkich sklepach, kawiarniach i na stacjach benzynowych. Chodziło raczej o to, że określała *Do They Know It's Christmas* mianem „imperialistycznego, rasistowskiego gówna zrodzonego na bazie syndromu białego zbawiciela”. Natomiast *It's Cold Outside* kojarzyło jej się z „podręcznikiem, jak zgwałcić kogoś na randce”.

– Jeju, nigdy tak o nich nie pomyślałam.

– Wsłuchaj się w teksty, mamó – wtrąciła Sophie.

Przewróciła oczami, patrząc na Florę. Najwidoczniej zamierzała zrzucić całą winę na siostrę.

Connie poczuła się zdradzona. Cieszyło ją, że córki trzymają się razem, nie chciała jednak, by to oznaczało, że zaczną zmawiać się przeciw niej, uznając ją za przestarzałą i niemodną. Zamiast przyjąć sugestię drzemki, Flora zadała jej pytanie.

– Czy my mamy w ogóle prawo do ubierania choinki?

– Słucham?

– Czy tam do świętowania Bożego Narodzenia. Nie chodzimy przecież do kościoła i tak dalej.

– Mów za siebie. Ja uważam, że coś w tym jest – zaprotestowała matka.

Odnosiła wrażenie, że w te święta, otoczona przyjaciółmi i najbliższymi, będzie zanosila regularnie modły do Boga Wszechmogącego. Zawiesiła kolejną ozdobę na gałązce, która i tak ugięła się pod zbyt wielkim obciążeniem.

– Gdy byłam w twoim wieku, życie nie wydawało mi się aż tak skomplikowane.

– Może dlatego, że masz skłonności do nostalgii, a to narzędzie kulturowe będące wytworem patriarchatu, które faceci

wymyślili, by nas kontrolować i utrzymywać *status quo*, bo tak jest dla nich najlepiej. W twoich czasach było to takie samo gówno jak teraz, tylko tego nie zauważałaś, bo wyprano ci mózg.

– Możliwe, ale rozpamiętywanie tego faktu nikomu w niczym nie pomoże. – Connie uśmiechnęła się szeroko. Próbowала zrównoważyć żaloszny cynizm córek emanującą z niej radosną, święteczną energią. Taki miał być bowiem przekaz tego dnia.

– Boże, mamó, jak możesz tego nie dostrzegać? Dlaczego zawsze wybierasz życie w niewiedzy?

Connie frustrowało, że Flora i Sophie, które były pięknymi, mądrymi i bogatymi dziewczynami, mogącymi cieszyć się niemal idealnym dzieciństwem (Czyż nie? Na tym przecież zależało zarówno jej, jak i Luke'owi, i właśnie dlatego otaczali swoje córeczki mnóstwem troski, uwagi i wszelkimi dobrami materialnymi) mają wiecznie z czymś problem. Prawdziwy czy wymaginowany, tego nie umiała niestety powiedzieć.

Posmutniała i zrobiło jej się żal młodego pokolenia. Wyglądało na to, że dla tych dziewczyn wszystko było albo za ciężkie, albo zbyt ponure. I trudne do zniesienia. Potem pomyślała o globalnym ociepleniu, internecie, dzięki któremu ludzie dostawali na okrągło same złe wiadomości, nie wspominając o bardzo łatwym i szerokim dostępie do porno, po czym uznała, że to rzeczywiście może być ciężkie, a nawet ponure. I trudne do zniesienia.

– Możesz podać mi aniołka? Tego niebieskiego. W tym roku figurka Fran powinna znaleźć się na szczycie choinki.

Dzięki Bogu za najstarszą z córek Connie. Pojawi się w domu lada chwila i wniesie podnoszące na duchu i jednoczące rodzinę *je ne sais quoi*, którym niewątpliwie emanuje. Dzięki niej zapanuje znów duch Bożego Narodzenia, niezależnie od tego, co może sobie myśleć o tekstach świętecznych piosenek.

Rodzina Bakerów miała trzy postacie aniołów, którymi dekorowano szczyt choinki. Zrobiły je same dziewczęta, dawno temu, kiedy chodziły jeszcze do przedszkola. Connie pilnowała, by były rotowane we właściwej kolejności. Córki kpiły, że stworzyła system pozwalający na sprawiedliwy i równy podział choinki, ale zdawała sobie sprawę, że każdy błąd zostanie jej wytknięty. Choć dziewczyny były sobie tak bliskie, to zaciekle ze sobą rywalizowały. Właśnie dlatego ich matka poświęcała mnóstwo czasu i energii, by unikać narzekań albo wywoływania kłótni. Żadna z jej córek ani nawet mąż nie mieli pojęcia, jak wiele wysiłku kosztuje to, by po pięćdziesiątce nadal wydawać się cholernie szczęśliwą i wiecznie pozytywnie nastawioną osobą.

A smutna prawda wyglądała tak, że Connie nie zawsze czuła się kandydatką do tytułu Domowego Słoneczka; to wymagało od niej zbyt wiele wysiłku. Ale cieszyło ją też, że bliscy nie zdawali sobie z tego sprawy. To znaczyło, że dobrze wykonywała swoją robotę. Powinna być wytrwała, optymistyczna, produktywna i poświęcać się dla nich; na tym właśnie polegała jej praca. Albo jedna z prac, bo była także fotografką i udzielała się dwa dni w tygodniu w lokalnej galerii sztuki. Owszem, jeśli ktoś ją sprowokował, umiała być irytująca, zagniewana albo nawet wredna. Znała wielu ludzi, którzy zachowywali się tak na co dzień, ale wołała, żeby zapamiętano ją jako kogoś, kto częściej leje oliwę na wzburzone wody. Lajkowała więc posty na Instagramie, które głosiły: „Carpe Diem” albo „Wybierz szczęście”. Nie narzekała na zdrowie, obdarzała miłością męża, córki, przyjaciół i dalszą rodzinę, płaciła w terminie wszystkie rachunki, często robiła sobie dwa urlopy w roku i kupiła ekspres Sage Barista. Krótko mówiąc, spełniała marzenia.

Przebyła daleką drogę i doskonale o tym wiedziała.

Nie rozumiała, dlaczego tak wiele osób znajdujących się w podobnej sytuacji szuka powodów do narzekań („Ta nowa piekarnia znów wyprzedała chleb na zakwasie”, „Ileż trzeba czekać na odebranie nowego elektrycznego Audi?”). Jakiż to wstyd. Marnowanie szczęścia danego przez los. Kusiło ją czasem, by wygarnąć malkontentom, żeby wzięli się w garść, ale nigdy tego nie zrobiła. Podejrzewała, że ich narzekania na niemal idealne życie są czymś na kształt odpukiwania w niemalowane drzewo. Może ci wszyscy piękni, zdrowi i bogaci ludzie uważali, że przyznanie, iż mają szczęście, sprowadzi na nich pecha? Może gdzieś tam, w głębi duszy, czuli się bardzo niepewnie?

A może byli po prostu zepsutymi sukinsynami.

Naprawdę tego nie wiedziała.

Tak czy inaczej, nie zamierzała narzekać na nadąsane wiecznie córki albo przeżywać stresów z powodu konieczności ugoszczenia reszty rodziny w okresie świąt. To ona będzie tą, która zabawia innych, gospodynią witającą wszystkich z szeroko rozłożonymi rękami, otwartym sercem i hojną kiesą. Nie udawała, uważała, że to wielki przywilej (u licha, jak bardzo nadużywano ostatnio tego określenia).

Connie, najstarsza z czterech córek swoich rodziców, przywykła do gwar nego i radosnego Bożego Narodzenia, choć jej matka nie przejawiała w takich momentach wielkiego entuzjazmu czy choćby krztyny radości. Co najwyżej emanowała skrywaną paniką, a w skrajnych przypadkach wycieńczającą odrazą. Rodzice Connie funkcjonowali jednak przy znacznie skromniejszym budżecie domowym, niż mogliby sobie życzyć, a obie jej babcie zachowywały się wobec matki równie zgryźliwie i agresywnie, jak ona w stosunku do własnych dzieci, niezależnie od tego, jak bardzo się przy nich starała. Do tego wszystkiego w domu nie mieli nawet zmywarki do naczyń. Nic dziwnego,

że matka chodziła taka zestresowana. Connie miała o wiele łatwiejsze życie.

Luke także był jednym z czworga dzieci, dla niego z kolei każde zapamiętane święta wiązały się ze skomplikowaną logistyką, rywalizacją z rodzeństwem i koniecznością zaciskania pasa. W pierwszych latach małżeństwa ich wielkie chaotyczne rodziny były dogodną wymówką, by przed Bożym Narodzeniem zniknąć krewnym z radaru. Sami woleli skromniejsze celebracje, tylko we dwoje, albo głośne biesiady w towarzystwie lekko podпитыh znajomych, ponieważ uważali, że w domach rodzinnych nikt nie będzie za nimi tęsknił. Bardziej wystawne przyjęcia zaczęły organizować dopiero po pojawieniu się dzieci, tworząc skomplikowany system, według którego zapraszali rodziców i resztę rodzeństwa, oczywiście w różnych terminach, i dzięki temu raczej częściej niż rzadziej udawało im się spotkać ze wszystkimi bliskimi.

Boże Narodzenie w domu Bakerów należało, i to niewątpliwie, do najbardziej magicznych momentów roku. Było wyczerpującym, drenującym portfele, ale nade wszystko ekscytującym wydarzeniem. Connie z niecierpliwością wyczekiwała hałaśliwych, może i kłótliwych, niemniej zawsze wesołych świąt. Luke nie przestawał żartować, że ma nadzieję, iż kiedyś spędzą ten czas na karaibskiej plaży bez dzieci, przyjaciół i krewnych. Connie roześmiała się, gdy powiedział to po raz pierwszy.

– Nie wierzę ci. Starasz się, by ten pomysł zabrzmiał atrakcyjnie, na wypadek, gdyby miał się kiedyś ziścić. Ale do niczego takiego nie dojdzie, póki ja mam tutaj coś do powiedzenia.

Ale on nie do końca żartował. Wiedziała, że Luke chciałby mieć ją wyłącznie dla siebie i mógłby się obejść bez świątecznego zgiełku rodzinnego Bożego Narodzenia. Trochę ją to niepokoiło, ponieważ z upływem lat przestawali mieć takie samo zdanie na każdy poruszany temat.

Nie lubiła tych myśli i dlatego odganiała je od siebie.

Wybierz szczęście!

Fran poinformowała ją po raz pierwszy, że nie przyjdzie sama.

Zaprośiłaś kogoś specjalnego?

Tak właśnie Connie jej odpisała. Żywiona nadzieja była namacalna, nawet w kontaktach przez komórkę.

– To się jeszcze zobaczy – odpowiedziała enigmatycznie Fran.

To na pewno był ktoś wyjątkowy. Connie nie musiała o nic pytać. Ten człowiek sprawił, że jej córka wolała spędzić lato w wynajętym mieszkanku przy uniwerku i nie pojawiała się w domu aż do wieczoru rozpoczynającego Boże Narodzenie! Connie nawet przez moment nie wierzyła w jej tłumaczenia, że woli pozostać blisko uczelnianej biblioteki. Fran, obecnie już dwudziestoletnia, nigdy wcześniej nie przyprowadziła chłopaka do domu. Roilo się tu często od jej przyjaciół obu płci, ale nie przedstawiła rodzicom żadnego z nich, informując, że to wybranek jej serca.

Może dlatego, że Connie tak właśnie ich nazywała. Przy oficjalnych okazjach mawiała też, że jej najstarsza córka jest „niezależna”, choć nadal miała ją za „lekkomyślną”. Nie oceniała, tak wyglądała jej rzeczowa analiza wiecznego niezadowolenia Fran: idealizm córki w połączeniu z beznadziejnie romantyczną naturą nie pozwalały na wnikanie się w poważniejsze związki. Wyglądała przy tym jak skóra zdarta z Connie, podobnie jak Flora, bo jedynie Sophie odziedziczyła urodę po ojcu. Ale nie tylko wyglądem przypominała matkę z młodości lat. Była żadna przygód, zmienna, otwarta na wszystko, co oznaczało, że angażowanie się musiało być dla niej trudne – wymagało poświęceń i ustępstw.

Connie dopiero po trzydziestce osiągnęła połowiczne zadowolenie z życia. Oddała się Luke’owi tak naprawdę i całkowicie

długo po ślubie, po tym, jak nieomal go straciła. Nie chodziło o to, że mógł umrzeć. Wdała się w romans. Ryzykowała wszystko, co osiągnęła. Rzuciła kośćmi i przegrała.

Nie cierpiała wracać myślami do tego, co mogła stracić i jak wiele by zniweczyła najzwyczajszym brakiem dyscypliny i irytującym (niestety wrodzonym) pragnieniem igrania z ogniem. Za każdym razem, gdy wspominała tamte chwile, czuła to znajome swędzenie skóry podszyte wstydem i czymś znacznie mroczniejszym. Strachem.

Cieszyło ją, że Fran znalazła kogoś wartego jej zdaniem przedstawienia rodzinie. To była wspaniała wiadomość, liczyła także, że wybranek córki okaże się cudownym człowiekiem, mądrym, uroczym, troskliwym i wrażliwym.

Choć nie zdziwi się za bardzo, jeśli dojdzie do totalnej katastrofy. Istniało bowiem jakieś ryzyko, że zostanie przyłapany na braniu narkotyków w łazience na parterze albo gdy będzie zamierzał przelecieć w pokoju gościnnym córki któregoś z przyjaciół. Sama miała przecież kilku chłopaków, którzy tak właśnie mogliby się zachować.

Potrząsnęła głową, próbując pozbyć się natrętnych i niezbyt świątecznych wizji. Wzdrygnęła się. Jak rzadko myślała o sobie. Jak łatwo pomylić brak szacunku ze zbytnią zuchwałością.

Dawna, zapomniana historia.

Zauważyła, że teraz, gdy jej córki same zaczęły nawiązywać romantyczne relacje, coraz częściej zdarza jej się wracać myślami do przeszłości. Porównywała ich doświadczenia ze swoimi albo zastanawiała się, jak zdołała osiągnąć to wszystko, czym dzisiaj się cieszyła. A miała z czego być dumna, co znaczyło, że mogłaby zrobić rachunek sumienia, wyciągnąć wnioski z własnych wzlotów i upadków, dzielić się nimi z córkami, aby i one znalazły sobie równie dobre miejsce w życiu. Być może pozwoli

im to uniknąć najbardziej bolesnych porażek i błędów, które stały się jej udziałem. Chciała im doradzać, chronić je, wspomagać. To chyba oczywiste. Choć im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej nabierała przekonania, że szczęśliwe zakończenie zawdzięczała raczej zbiegom okoliczności niż sumiennemu planowaniu. Z faktu, że ktoś podarował ci kupon totka z trafnie skreśloną szóstką, niewiele da się wynieść nauki. Ta myśl wydała jej się zatrważająca.

Chciałaby wierzyć, że ludzie są kowalami własnego losu, że powinno to być jasne i jednoznaczne, ale zbyt często widziała, jak nieszczęścia sypią się lawinowo na głowy porządnych ludzi i jakim ogromem szczęścia cieszą się wyjątkowo ohydne osobniki. Obserwowała nagradzanych łapówkarzy i tych, których za to samo surowo karano; była świadkiem, jak ludzie wygrywali główne nagrody w loteriach, i widziała bezgraniczną biedę. Nie istniały żadne zasady. Życie było po prostu okrutne. Choroby, śmierć, redukcje zatrudnienia, bezpłodność, rozwody, uzależnienia, wypadki – mogłeś załapać się na wszystko, i to czystym przypadkiem. Najlepszą radą, jakiej mogła udzielić więc córkom, czy też pocieszeniem, było powiedzenie im, że wszystko zależy od tego, jak się zachowają, gdy będzie z nimi źle.

Dwie z nich mogła już traktować jak dorosłe; trzecia, najmłodsza, dołączy do nich w przysłowiowym okamgnieniu. Pójdą w daleki okrutny świat i staną się niezależne. Od niej.

To była kolejna przerażająca myśl. Tak bardzo chciałaby mieć je zawsze przy sobie: małą Sophie w wózku, Florę na górnym siedzisku i Fran drepzczącą obok i niepuszczającą ani na moment rączki wózka. Wszystkie trzy pod jej skrzydłami. Chronione. Ludzie mawiają, że najbardziej boją się mieć dzieci, ale jej to nigdy nie przerażało, więcej nawet, świetnie sobie z tym radziła. Kapała je, karmiła, zmieniała pieluchy i ubierała. Bardzo

często unikała potencjalnych katastrof, a jeśli już do nich dochodziło, to starała się pocieszyć córeczki i je uspokoić. Za to lata szkolne kojarzyła z najczystszą udręką; pojawiło się zbyt wiele czynników zewnętrznych, których nie mogła kontrolować. Nie-sprawiedliwości i zawody były na porządku dziennym: zerwane przyjaźnie, wyrzucenie z drużyny, znęcanie się, trudne egzami-ny. Ludzie mówią, że możesz być co najwyżej tak szczęśliwa, jak twoje najmniej szczęśliwsze dziecko. Matka trójki dziewczynek w wieku szkolnym nie mogła liczyć na to, że każdego dnia będzie tańczyć cza-czę.

Teraz jednak docierało do niej powoli, że najgorszy strach, to mrozące krew w żyłach przerażenie wywoływane nieprzewidzia-nymi sytuacjami jest dopiero przed nią, bo coś takiego spada na barki rodzica, gdy jego dzieci dorosłają i każdy aspekt ich życia wymyka się spod kontroli. Od dawna nie wiedziała, co je teraz interesuje, z kim przestają, bo ich problemów nie dało się już rozwiązać zwykłymi pogaduchami z nauczycielem. Teraz tylko od nich samych zależało, czy upadną i już się nie podniosą, czy wzbi-ją się w niebo, by rozkwitnąć. Ona była bezsilna. Na tym etapie rozwoju rodzice mogą jedynie stanąć z boku, ufając, że dali swo-im pociechom wystarczająco wiele dobrych wskazówek, odpor-ności i zdrowego rozsądku, by mogły przetrwać na własną rękę.

– Mamo, mamo, Aniołek! – wrzeszczała Sophie, bo Connie zamyśliła się tak głęboko, że przestała śledzić tok rozmowy.

Córka podawała jej figurkę, potrząsając nią niecierpliwie. Tę żółtą, należącą do niej.

– Powiedziałam niebieski. W tym roku wypada kolej Fran.

Sophie się nadąsała, ale pogrzebała posłusznie w pudle z ozdobami, wyciągnęła właściwego aniołka i podała go mat-ce. Connie umieściła go ostrożnie na samym szczycie choinki. Głowa papierowej postaci ocierała się o sufit.